

## Wstępniak czyli o potrzebie uzupełnienia książki.

Wiem, że książka mojego autorstwa „Die Ehrenmenschen. Ludzie Honoru.” jest kontrowersyjna.

Wiem także, że pod moim adresem posypią się gromy i wyzwiska – że zdrajca, że Szkop (to tak w najlepszym przypadku). No cóż, nic na to nie poradzę. Wyzwiska są wyrazem braku kultury i bezsilności.

Zdrajca? O to mogliby oskarżyć mnie właśnie oni, „die Ehrenmenschen, Ludzie Honoru”, ale to właśnie oni, wspólnie z moim Dziadkiem, wychowywali mnie, przekazywali mi (niecałą) wiedzę i wpoili we mnie, że to właśnie ja mam obowiązek napisać o tym wszystkim. Z ich perspektywy zdrajcą zatem nie jestem. Zresztą ludzie, którzy mogliby cokolwiek o tych sprawach powiedzieć, nie żyją od wielu, wielu lat. Oni nie będą świadczyć ani za mną, ani przeciwko mnie.

Niektórzy mogą nawet krzyczeć, że tchórz, bo wydałem książkę pod pseudonimem. W książce wytłumaczyłem, dlaczego. Nie ufam państwu polskiemu na grosz, skoro od lat z niszczeniem grobów i naruszaniem spokoju zmarłych nie jest się w stanie uporać, a hieny cmentarne mają się nad wyraz dobrze!

Możecie się pytać w nieskończoność o moją tożsamość, kim się tak naprawdę czuję. Jeden z głównych publicystów portalu HISTORYK, pan Ireneusz Piątek, przypomniał mi stary żart na temat tożsamości Ślązaków:

„Niemiec? – Ni!

Polak? – Ni!

Znaczy że Ślązak! – Nooo!”

Ano jakoś tak wychodzi. Zresztą Niemcy twierdzili, przynajmniej przed wojną, że Ślązak to taki sztywniak, którego gwary nikt nie jest w stanie zrozumieć, ale który doskonale rozumie i Niemców i Polaków, a jak chce, to mówi i dobrym (czytaj: poprawnym, zrozumiałym) niemieckim i po polsku. Przyznaję, że tak właśnie jest ze mną. Nie czuję się ani Niemcem, ani Polakiem, tylko (Dolno)Ślązakiem, mówię dobrze w obu tych językach. I jestem „sztywniakem”, bo te rubaszne, często na pograniczu wulgarności niemieckie kawały nie biorą mnie, tak jak nie bierze mnie polskie naigrywanie się z innych nacji.

Wiem, że niektórzy zarzucą mi „zdradę narodową Polski”, bo przecież Śląsk należy dziś do Polski. Odpowiem tak: nie dalej jak 5 czerwca 2017 roku odbyło się sympozjum na temat spraw społecznych, z udziałem najważniejszych przedstawicieli dolnośląskich samorządów. Jedna z poruszanych kwestii brzmiała: **„Czy Dolnoślązacy, sami będąc potomkami imigrantami, są gotowi przyjąć emigrantów?”**

W 2017 roku pozwalacie nazywać siebie imigrantami albo potomkami imigrantów? Czujecie się obcymi na (Dolnym) Śląsku? Czyżbyście ciągle znajdowali się pod przymusem dostosowania się do innych warunków kulturowych, językowych? Tak się czujecie 72 lata po zakończeniu II wojny światowej i mniej więcej 70 lat po usunięciu z Dolnego Śląska niemalże wszystkich jego dawnych niemieckojęzycznych mieszkańców?

Wasi politycy obrażają takim pytaniem tych wszystkich, którzy po 1990 roku odkupili zrujnowane mieszkania od gmin, utworzyli wspólnoty mieszkaniowe i małymi krokami odnawiają budyneczki pamiętające często czasy cesarza. Czasem austriackich cesarzy, którzy Śląskiem władali do połowy XVIII wieku. Obrażacie tych wszystkich, którzy na tych ziemiach inwestują w swój nowy dom, niezależnie od tego, czy budują samodzielny dom czy kupują nowo wybudowane mieszkanie!

Natomiast wy wszyscy mieniący się Dolnoślązakami jesteście, tak!, jesteście tchórzami, skoro nie potraficie pogonić „prominentów świata polityki” starających się wam wmówić, że Polacy są tu, na Dolnym Śląsku obcy, bo zostali wypędzeni przez Sowieców z Kresów Wschodnich i jedynie z braku innego miejsca właśnie tu osiedleni! Że wy jesteście tu obcy!

To „kolejna cegła w murze”, którym oddzielam się od takiej idiotycznej polityki.

Dla porządku dodam, że w tej konferencji udział brała strona rządowa („dobra zmiana”) i reprezentowana przez obóz PO-PSL-SLD strona samorządowa! Czyli wszystkie „święte krowy” polskiej polityki.

Wróćę na moment do kwestii wiedzy. Oczywiście będą padać zarzuty, że powinienem powiedzieć wszystko, co wiem – niestety, nic z tego. Żyjemy w czasach „drapieżnego kapitalizmu”. Wiedza jest towarem, za który trzeba zapłacić, czasem słono. Skoro znajomość niemieckiego jest w polskim społeczeństwie rzadkością, umiejętność czytania tego „cholernego gotyku” jest jeszcze większą rzadkością a połączenie obu tych umiejętności ze znajomością historii Śląska, jego geografii, topografii (ale takiej nie z internetowych opisów tylko dziesiątek i setek przełazonych po tych górach dni i być może kilku czy kilkunastu tysięcy kilometrów „:w nogach”) to już w ogóle unikat... Do tego trzeba jeszcze połączyć tak z tysiąc tytułów książkowych, zrozumieć, wyciągnąć istotne informacje, przeanalizować, poddać wnioskowaniu...

Na wasze nieszczęście absolutna większość treści „Ludzi Honoru” ma swoje potwierdzenie w innych książkach, czasem nawet i polskich lub na polski tłumaczonych. Zrobiłem osobiście to, co w praktyce amerykańskiej agencji wywiadowczej CIA nazywa się metodą puzzli albo mozaiki. Brałem informację, starałem się ją dopasować do któregoś obrazka. Czasem kolejna informacja sprawiała, że wcześniejsze zmieniały swoje miejsce. Powstawał w końcu jakiś fragment rysunku... Potem, znając z innych źródeł metody i zwyczaje stosowane przez Niemców w bardzo podobnych sytuacjach, uzupełniałem obraz i starałem się jedynie znaleźć jakieś fakty potwierdzające, że moje domysły są słuszne. W wielu wypadkach udawało mi się.

Oczywiście powiecie, że przecież korzystałem z wiedzy „Strażników”, że oni z pewnością przekazali mi coś więcej. Lokalizację, szczegóły zabezpieczeń. Mogę zawsze, z niewinnym uśmiechem spytać „A skąd wiecie, że to nie jest li tylko wytwór mojej fantazji? Coś, co w języku sztuki nazywa się *licentia poetica*?”

Książka powstała w oparciu o informacje, które można odnaleźć w innych książkach, starej prasie, dokumentalnych filmach czy w archiwach. Jej historyczna treść jest wpasowana w realia tego wszystkiego, co działo się z moimi przodkami na przestrzeni ostatnich czterystu lat na Śląsku, od wybuchu wojny trzydziestoletniej.

Z jednej strony nic „nowego” wam zatem nie powiem.

Nie jestem w stanie wskazać tych tajnych i do dziś ukrytych obiektów – nigdy w nich nie byłem, a przeszukanie gór na obszarze kilku tysięcy kilometrów kwadratowych jest zadaniem ponad moje siły. Nie mam choćby odrobiny szkolenia saperskiego, nie mam sprzętu do badań z powietrza - lidarów, georadarów, magnetometrów – też musiałbym szukać bardziej na „nosa i intuicję” niż w oparciu o mocno niewiarygodne wskazania sprzętowe, czego najlepszym przykładem może być poszukiwanie mitycznego „złotego pociągu”. Na obrazach „coś ponoć jest”, ale pociągu nie ma...

Jeśli chodzi o opowieści „Ludzi Honoru” przyznaję, że dziś już wiem, iż zwiedli mnie. Przynajmniej, jeśli chodzi o okres lat 1942-45. Mieli (tak twierdzili) stanowić ochronę zewnętrzną dla pasa tajemnic od „RIESE” po Twierdzę Srebrna Góra. Chciałoby się wierzyć, że zostali włączeni (dzięki protekcji) do 527 Pułku Łączności i zadekowali się z dala od wszelkich walk, obsługując stanowiska łączności i posterunki wartownicze bardzo blisko rodzinnych domów i zapewniając tamtym z SS łączność z ośrodkami decyzyjnymi III Rzeszy, ale jest to prawdopodobnie jedynie wierzchołek góry lodowej.

Kiedy książka powstawała (a zacząłem spisywać poszczególne wypowiedzi i uzyskiwane informacje w połowie lat 80-tych), o wielu sprawach się nie mówiło. Choćby i dlatego, że wielkie mnóstwo dokumentów pozostawało ukrytych w archiwach USA, ZSRR, Francji czy Wielkiej Brytanii. Jednakże na przestrzeni ostatnich 2 – 3 lat na antenach niektórych satelitarnych kanałów historycznych zaczęły pojawiać się filmy z informacjami, które inaczej każą mi spojrzeć na historię Sudetów z lat 1933-45. Przy okazji muszę też inaczej spojrzeć

na postawę wszystkich „Ludzi Honoru”. I, choćby w formie hipotezy, ukazać ich prawdziwą rolę i cele.

Powstały w 2014 roku „Jurajski park Hitlera” autorstwa Jeremy’ego Bristowa, angielskiego dokumentalisty był prawdziwą pochodnią rzuconą na beczkę prochu. Jest w nim jeden krótki fragment poświęcony stworzeniu „azylu dla odtworzonych turów” w Puszczy Białowieskiej i zbrodniczej roli, jaką w ochronie tego azylu pełnili żołnierze Specjalnego Batalionu Luftwaffe. Ten fragment trwa może dwie minuty, ale pchnął mnie na zupełnie nowy trop. O istnieniu jednostek pod nazwą Luftwaffe Sonderbataillon wiedziałem od wielu, wielu lat. Ochroniali słynny Carinhall, ochroniali wszystkie ważniejsze obiekty Luftwaffe, a szczególnie te należące do KG 200 (skrzydła myśliwskiego 200), rozsianych po Europie tajnych baz, w których odbudowywano ze szczątków rozbitych maszyn samoloty amerykańskie czy brytyjskie, by później, wraz z formacją aliancką poleciały nad Anglię i, odrywając się od reszty, zrzuć bomby na szczególnie chronione obiekty. Ochroniały także siedziby OKL (naczelnego dowództwa Luftwaffe), W tym bunkier Göringa w Wilczym Szańcu.

Ale że działały w lesie przeciw partyzantom? Tego nie wiedziałem.

I nagle skojarzyłem tę informację z inną – że właśnie specjalny batalion Luftwaffe był ostatnią jednostką, która do 9 maja 1945 roku ryglowała obszar Dzierżoniów – Ząbkowice Śląskie – Srebrna Góra, po czym zniknęła w górach i kapitulowała przed Amerykanami w okolicach Augsburga. To był pierwszy temat do drążenia.

Kolejny temat, który kazał mi inaczej spojrzeć na Sudety, to filmy dokumentalne pokazujące obóz koncentracyjny Mauthausen, a w szczególności jego filie Gusen I oraz Gusen II. Szczególnie to ostatnie miejsce, gdzie kosztem życia dziesiątek tysięcy więźniów stworzono Bergkristall – podziemny kompleks badawczo-produkcyjny. Dziś odtworzono tylko wejście na poziom górny – ale to i tak ponad 8 kilometrów tuneli, korytarzy łącznikowych i hal produkcyjnych o łącznej powierzchni ponad 49 tysięcy metrów kwadratowych. A według świadków miało być jeszcze 4 lub 5 poziomów niżej, przy czym te najgłębiej położone miały być jeszcze większe. Razem od 40 do 50 kilometrów podziemi wybudowanych między latem 1943 a wiosną 1944...

Historia Gusen uświadomiła mi, że każdy z takich obiektów (wraz z przypisaną mu filią obozu koncentracyjnego) miał swojego zarządcę. Dla Gusen, Mauthausen i ogólnie całej północnej Austrii postacią taką był Hans Kammler. Inżynier budownictwa po gdańskiej Politechnice, członek Freikorps, Obergruppenführer (odpowiednik generała broni) SS i Generalleutnant (generał armii) Waffen SS... Zbrodniarz odpowiadający za początkową fazę likwidacji warszawskiego getta w 1943 roku (ale nie wykazał się należycie, zatem zastąpił go inny zbrodniarz, Jürgen Stroop). Zbrodniarz, którego dziełem jest między innymi podziemna fabryka DORA (w pobliżu Nordhausen w Turynii), a także pomysłodawca, konstruktor i „racjonalizator” krematoriów w KL Auschwitz-Birkenau. Używam nazwy niemieckiej celowo aby podkreślić, że to były **NIEMIECKIE** obozy śmierci i za ich powstanie, funkcjonowanie oraz popełnione w nich zbrodnie przeciw ludzkości odpowiadają **NIEMCY** jako państwo i jako naród!

Kammler miał odpowiadać za niektóre tajne projekty „cudownej broni”. Z pewnością miał do czynienia z programami V-1 oraz V-2, mówi się także o współpracy przy projekcie die Glocke – dzwon, ale nie w Górach Sowich, tylko właśnie tam, na obszarze Wschodniego Tyrolu w Austrii.

Na północ od Austrii leżą Czechy. I obozy koncentracyjne w Letach, Hodoninie i Teresinie (Theresienstadt). Wszystkie one podlegały, od 1941 roku, Obergruppenführerowi SS, generałowi Policji i generałowi Waffen SS Carlowi Friedrichowi Grafowi von Pückler-Burghaus. Jak również zlokalizowane na terenie czeskiej części Sudetów filie Groß Rosen. Oraz (o nich wiemy to z całą pewnością) obiekty badawcze Luftwaffe zlokalizowane w podziemiach fabryki SKODY w Pilźnie.

Pückler-Burghaus. Zbrodniarz odpowiadający między innymi za wymordowanie Żydów na Litwie, Łotwie i w Estonii. A do tego przedwojenny inżynier (budownictwo na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie), urzędnik dyplomowany (prawo i administracja państwowa na uniwersytetach w Bonn i Wrocławiu), oficer w czasie I wojny światowej (absolwent szkoły oficerskiej we Frankfurcie nad Odrą), członek Freikorps od samego ich początku do końca w 1924 roku, potem członek związków strzeleckich. Od 1919 roku członek DNVP – Niemieckiej Partii Nacjonalistyczno-Ludowej. Coś jakby NSDAP, tyle tylko, że wśród statutowych postulatów była restauracja cesarstwa, ot taka „partia hitlerowska dla panów arystokratów”. Od 1931 roku członek NSDAP.

Pod zakładami Skody miał powstać pierwszy prototypowy egzemplarz latającego skrzydła braci Hortenów. A w lecie 1941 roku, na poligonie w pobliżu Pragi, Pückler-Burghaus miał osobiście zaprezentować Hitlerowi i Heydrichowi, namiestnikowi Protektoratu Czech i Moraw, bliżej nieokreślony prototyp lotniczy.

Nie wiem, czy te informacje można połączyć, ale z innej informacji wynika, że w sierpniu 1941 roku rakietą A-4 (cywilny model rakiety V-2) z sukcesem opuściła atmosferę ziemską i osiągnęła wysokość 160 kilometrów!

Coś jeszcze łączy tych dwóch ludzi. Kammler został uznany za zmarłego 9 maja 1945 roku przez sąd (niemiecki!!!) dla dzielnicy Berlin Charlottenburg. Ciało nigdy nie odnaleziono. Pückler-Burghaus też miał ponoć zginąć. Są aż trzy wersje jego śmierci. Miał w miejscowości Cimelice (historycy podają nawet, chyba aby uwiarygodnić taką wersję) za domem nr 49 popełnić samobójstwo. Strzelił sobie w głowę w taki sposób, że pistoletowa kula zmasakrowała całą twarz. Amerykanie dokonali ponoć identyfikacji na podstawie znalezionego ciała w mundurze, dokumentów osobowych i sygnetu rodowego. Wedle innej wersji miał wpaść w ręce więźniów uwolnionych z jednej z filii Groß Rosen gdzieś między Libercem a Usti nad Labem. Zastrzelono go a ciało, odarte z munduru, rzucono na wielkie mrowisko. Wedle trzeciej wersji złapali go więźniowie z Teresina, powiesili z mostu głową w dół i pozwolili mu się utopić... Oczywiście ciało zostało rzucone w las, zwierzętom na pożarcie. Trzeba tu wyjaśnić, że Carl Friedrich Graf von Pückler-Burghaus nie dał sobie wytatuować symboli SS czy grupy krwi na przedramieniu. Był arystokratą, mężem Olgi Elisabeth księżniczki Sachsen Altenburg, córki księcia Albrechta, ostatniego władcy niepodległej (do 1871 roku) Saksonii i pruskiej księżniczki Marii von Preußen (czyli z Prus, inaczej mówiąc z rodu Hohenzollernów). Takie szpecenie ciała w jego sferach nie uchodziło. Honor arystokratyczny mógł brukać do woli, byle nie stanąć przed sądem. No ale przecież on, jak każdy wyższy oficer SS, wykonywał jedynie rozkazy Hitlera, Himmlera, Heydricha, realizował zapisy ustaw norymberskich i innych podobnych aktów prawnych. Zatem jakie zbrodnie? Jakie zbrukanie honoru? Służba dla dobra Niemiec!

Oni obaj, Kammler i Pückler-Burghaus, zarządzali obozami koncentracyjnymi przypisanymi do podziemnych fabryk i placówek badawczo-naukowych od Tyrolu po południowe Sudety; władztwo Pückler-Burghausa rozciągało się nawet na część Kotliny Kłodzkiej. Podlegała mu między innymi fabryka Messerschmitta w Kudowie-Zdroju.

Mamy zatem schemat, coś, bez czego Niemcy nie wyobrażają sobie życia: obiekt „przemysłowy” połączony z zaopatrzeniem w darmową siłę roboczą z pobliskiej filii Konzentrationslager, jedno i drugie pod jednoosobowym kierownictwem wysokiej rangi oficera z SS. W niewielu wypadkach kogoś spoza SS, ale też ważnego w hitlerowskiej hierarchii państwowo-wojskowej. Reguła!

Dolny Śląsk to nietypowe dla Niemców odstępstwo od reguły, złamanie schematu. Wiemy, że po całych Sudetach rozsiane były filie obozu koncentracyjnego Groß Rosen. Wiemy, że były tu laboratoria, fabryki, poligony. Ale nie mamy pojęcia, kto tym zarządzał. A raczej: nie pochyliliśmy się należycie nad historią, aby poznać imię i nazwisko tego kogoś. Jest trop, który mnie naprowadził na odpowiedź. Chyba nawet dobry trop.

Zapraszam do przeczytania „Sprawy czerwonego dywanu”.

**Piotr H. „baron”**